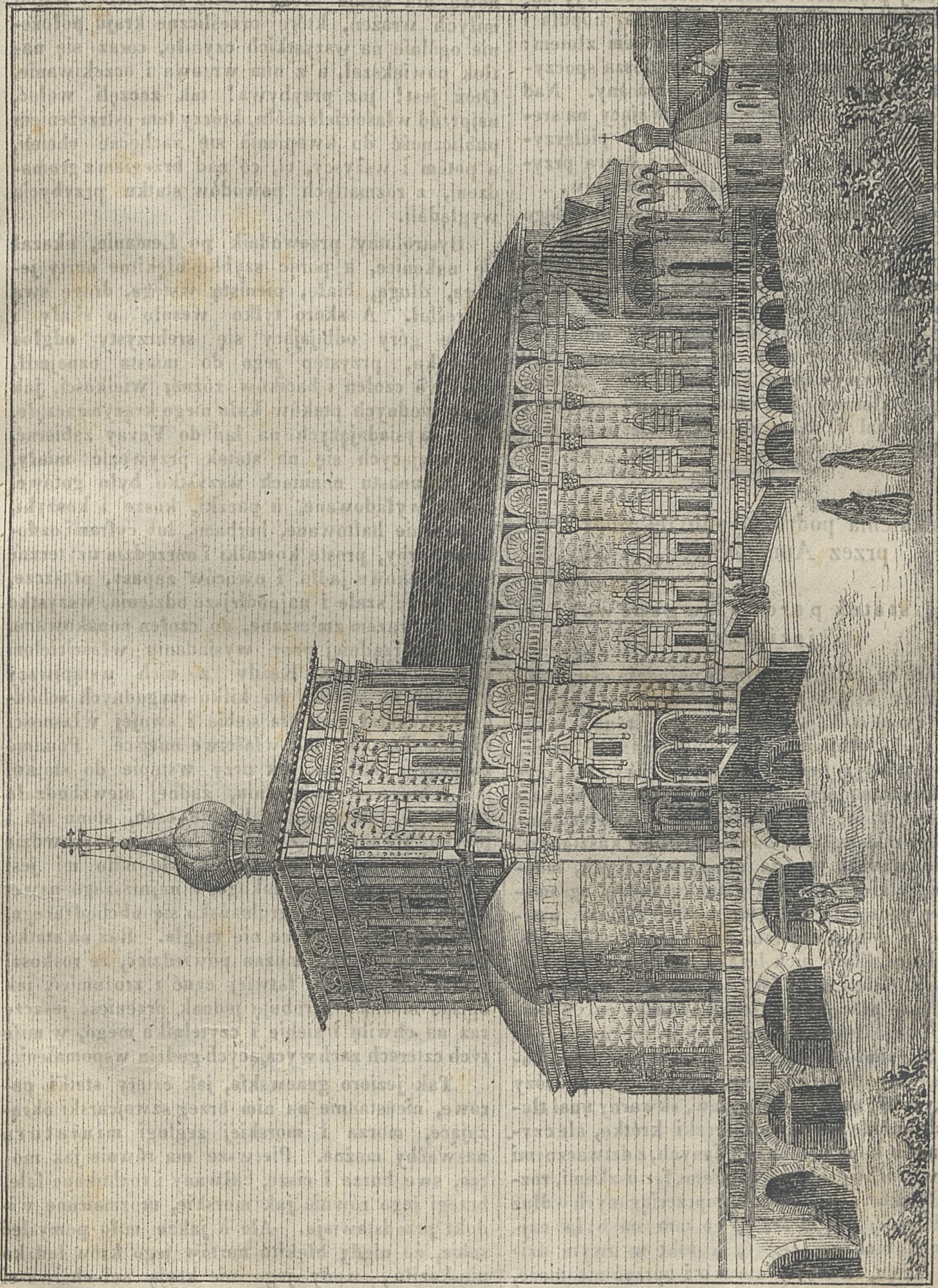
Przyjaciel Ludu.

Rok piąty. **No. 2.** Leszno, dnia 14. Lipca 1838.



Klasztór Ś. Trójcy pod Moskwą.

Klasztór Ś. Trójcy pod Moskwą.

Topolowa alea prowadzi z Moskwy do metropolitalnego kościoła Wniebowzięcia Panny Maryi, wystawionego w 16. wieku, pod panowaniem Iwana Groźnego: niedaleko stoi klasztór Ś. Trójcy, w nim grób Ś. Sergiusza. Nie tak okazałość, jako raczéj piękność i kosztowność budowy, zachwyca każdego. Cały dach kościoła, kopuła i krzyże, wyzłacane czystém dukatowém złotem: a ołtarz, w którym szczątki Ś. Sergiusza spoczywają, z lanego srebra, grubo pozłacany. Nad nim, wznosi się baldachim, spoczywający na srebrnych kolumnach. Do tego Świętego pielgrzymuje lud z najodleglejszych okolic i bywa przypuszczany do całowania świętych relikwiów.

Powierzchowność kościoła i ztąd każdego uderza, ponieważ jest różnobarwna, w różne upstrzona figury. Skarbiec tutejszy, zawiera kosztowne osobliwości; ornaty, księgi stare, w złoto oprawne, drogiemi klejnotami wysadzane. Klasztór Ś. Trójcy, liczył dawniéj 300 mnichów, dziś ledwo 100, ale za to ma seminaryum z 300 uczniów, utrzymywanych kosztem rządu i zakonu. W obrębie klasztoru jest sześć innych kościołów; szkoły, szpital i pałac cesarski, nie wart tego nazwiska.

Wspomnienia podróży, odbytéj roku 1837 przez Annę Nak.....

I.

Orzeł, statek parowy na genewskiém jeziorze.

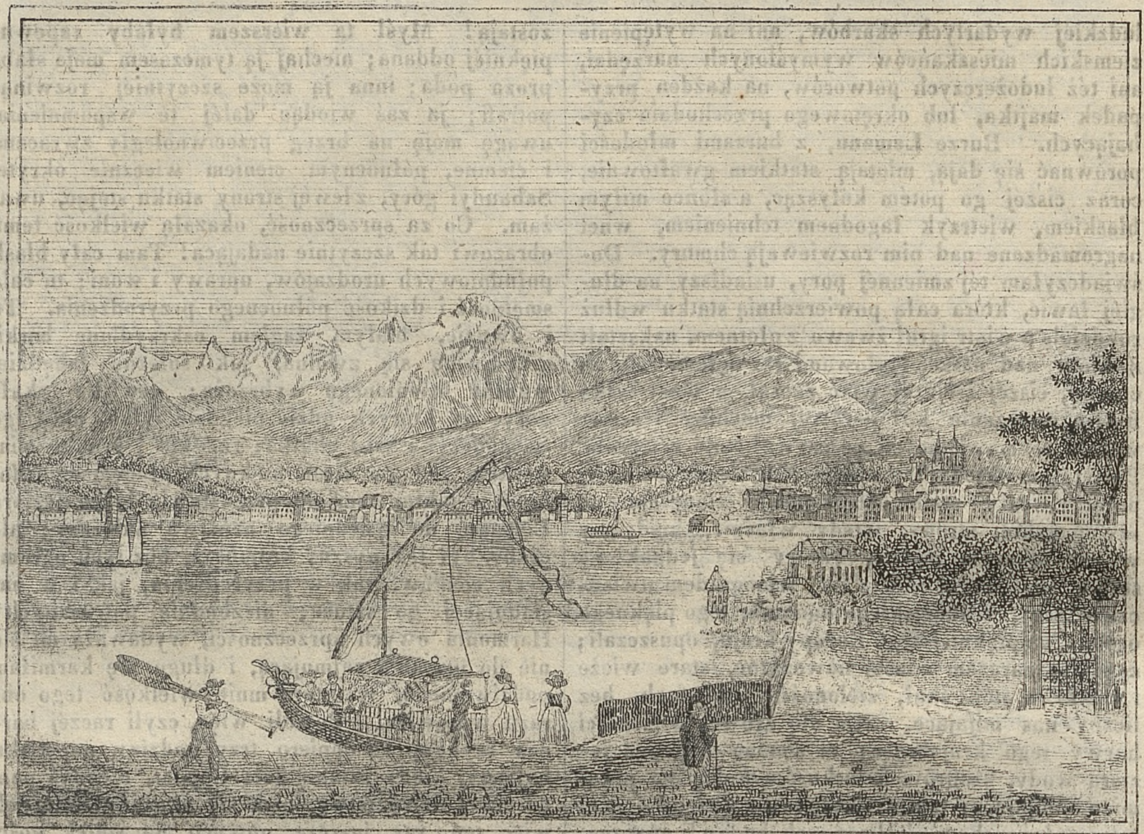
Słońce w całéj okazałości południa oświecało malowniczy krajobraz, któremu miasto Vévay i prawie z nim stykające się La Jouz, droga wzdłuż jeziora do Włoch wiodąca i mnogie zamki, wieże, zielonym winnym krzewem umajone góry i rozłożystemi drzewami ocienione strumienie, tyle życia i piękności nadają; kiedy u przystani w wyż wzmiankowanego miasteczka, pod cieniem lip i kasztanów, szerokie wzdłuż jeziora ulice tworzących, mnóstwo wszelkiego stanu i gatunku ludzi, zgromadzać się zaczęło. Ci, którzy mieli zegarki, ustawicznie je dobywali; inni paczkami różnéj wielkości, które około nich leżały, wyłącznie zdawali się zajęci, dzieci; tu i ówdzie biegały, wołając to radośnie, to płaczliwie, kiedyż o kiedyż przybędzie mamo, tato; długoż jeszcze na niego czekać będziemy? Starannie poubierane cudzoziemki przechadzały się z wolna obok wytwornych swéj podróży towarzyszów, pod cieniem drzew, skwarny upał tłumiących; młode zaś Szwajcareczki, krótko, ale czysto ubrane w kapeluszach słomianych, z dziwacznemi na ich wierzchu denkami, i pstremi fartuszkami, rozwieszały chusty na sznurach, poprzeciąganych wdłuż téj publicznéj przechadzki, bo tam im było najdogodniéj bieliznę suszyć, a nikt w owym dziwnym kraju, niczyjéj się woli oprzeć nie może, kiedy nie jest dla ogółu istotnie szkodliwą; wszystkie więc miasta Vévaj praczki, na najpiękniéjszym jego spacerze, suszarnią swoją założyły, i nikt téj dla spacerujących niedogodności sprzeciwić się nie zdoła. Tak więc wśród niecierpliwego oczekiwania jednych, krzyku i hałasu innych, obawy tych, co po raz pierwszy w tak nową dla siebie drogę puścić się mieli, i wśród miłych wrażeń, które prześliczne kraju położenie ogólnie na wszystkich czyniło, coraz się natłok powiększał, a z nim wrzawa i oczekiwanie. Otóż jest! już przybywa! tak zaczęli wołać, najprzód właściciele czóln, którzy tem ostrzeżeniem publiczność do kwapienia się zachęcać chcieli, a potém i wszyscy, ci, co nad brzegiem zgromadzeni, z rozmaitych powodów statku przybycia wyglądali.

Bystrolotny przewodnik po Lemanie, ukazał się nakoniec, a porąc szybko błękitne nurty jeziora, długą, białą, pienistą wstęgą, drogę swą nakreślał. A skoro tylko wesoło o skały i winne góry odbijający się srebrzysty odgłos dzwonka, przystęp jego do miasta oznajmił, mnóstwo czołen i bacików różnéj wielkości, jak stado wodnych ptaków koło niego krążyć zaczęło, które wysiadających na ląd do Vévay zabierać, lub udających się na statek przywozić miały. W kilkunastu minutach wszystko było gotowe, czołna wyładowane, a paczki, kosze i koszyki, wytwornie haftowane, herbami, lub cyframi ozdobione torby, proste koszałki i narzędzia użyteczne lub zbytkowe jadła i owoców zapasy, płaszcze, kosztowne szale i najpodlejsze odzienia, wszystko to, lubo razem zmieszane, do czołen popakowano, jak najporządniéj przy wysiadaniu właścicielom oddane zostało. Każdy z nich wstąpiwszy z czołna na statek, po kilku wygodnych schódkach, znalazł tam dla siebie i swojéj własności równie dogodne, jak właściwe miejsce. Pomimo znacznego natłoku, tak przy wstępie do statku, jak z niego wylądowaniu, żadnéj niewzbudzało kłótni w tak mnogiéj liczbie osób, stanu ich i języka różności. Zwawo i hałaśnie wprawdzie wszystko się tam odbywało, ale miło mi jest wspomnieć, żem tam nikogo, z najniższego nawet rzędu towarzystwa, grubiańsko się obchodzącego, albo pijanego dostrzec nie mogła. Raz na statku ulokowaną będąc, można powiedzieć, że roskosz, któréj się doznaje, łatwiéj czuć i zrozumieć, jak opisać można; sprobuję jednak przenieść jeszcze raz na chwilę i siebie i czytelnika mego, w miłe tych czterech zachwycających godzin wspomnienia.

Tak jezioro genewskie, jak cztery statki parowe, nieustannie na nim brzeg szwajcarski okrążające, morza i morskiéj żeglugi miniaturą nazwaćby można. Pierwsze ma równie jak morze, swe burze i cisze, bałwany i rozhukane fale, brzegi jego równie jak morskie, urozmaicone widoki przedstawiają. Ale o jakże miło pomyśleć sobie, że nigdy błękitu nurtów jego krew ludzka nieskaziła, wody jego nie kryją ani chciwości

ludzkiéj wydartych skarbów, ani na wytępienie ziemskich mieszkańców wymyślonych narzędzi, ani też ludożerczych potworów, na każden przypadek majtka, lub okrętowego przechodnia czyhających. Burze Lemanu, z burzami młodości porównać się dają, miotają statkiem gwałtownie, coraz ciszéj go potém kołysząc, a słońce miłym blaskiem, wietrzyk łagodnem tchnieniem, wnet nagromadzone nad nim rozwiewają chmury. Doświadczyłam téj zmiennéj pory, usiadłszy na długiéj ławie, która całą powierzchnią statku wdłuż rozdziela; wiatr igrał żwawo z płotnem, nakształt namiotu nad naszemi głowami rozpiętem, ale za chwilę, ciszéj i ciszéj wiać zaczął, a wnet tylko bystre warczenie kół parowéj machiny i szmer wesoło rozmawiających przerywał moje marzenia. Powstałam wtedy i przybliżyłam się do żelaznéj poręczy, cały statek otaczającéj; stanęłam od szwajcarskiéj strony, wtedy właśnie, kiedyśmy w największym pędzie, (który się jednak na statku spostrzegać nie daje) winogradem uwieńczone góry, veaudejskiego kantonu, tego pięknego ogrodu najpiękniejszego Europy kraju, opuszczali; żegnając zarazem miasta nowożytne, stare wieże i zamki u stóp skał, zielonością okrytych, bez liczby nas mijające. Nic nie zrówna świeżości barwy tego krajobrazu; tu ciemno-błękitne jeziora wody, szafirów i turkusów kolor na przemian odbijające; tam szmaragdowa zieloność gór, pstrym łańcuchem niezliczonych budowli opasana, warczenie kół co kilkanaście minut wolniało, uciekało nawet, a srebrzysty dzwonek, odzywający się wesoło, sprawiał na statku chwilowe zamieszanie, krótko jednak szybki lot jego zwalniające i czołna napełnione nowymi przybylcami, które zaraz wylądujących do miasteczek St. Saphorin, Ouchy, Morges etc. zabierały, nieustanny ruch między nami tworzył; odprawiając całkowitą z Vévay do Genewy żeglugę, miałam sposobność uważać i bawić się prawie nieustanną zmianą towarzyszów naszéj podróży.

Gdybym była duchem poezyi natchniętą, jakże piękne porównanie życia ludzkiego, z temi tu i tam na statku udającymi się przechodniami zrobićbym mogła: rodzić się, żyć i umierać, nie jestże to chwilowém na światowy statek przybyciem? statek, który zawsze pełny, ustawicznie jednak gości zmieniający, nie jestże świata obrazem? Nie jeden lord, lub północny xiążę, dumnie się wzdłuż niego przechadza; który w kilka minut potém w skromném czołnie, na brzeg, do przeznaczonéj mu gospody dąży; nie jedna ładna dziewica, przy żelaznéj jego stojąc poręczy, rozmawia czule z młodym jakim rodakiem, którego na owym statku poznała; ręka jego, małéj jéj rączki szuka, ściska i do ust podnosi; wyraz jéj ciemnych oczu już nie jest groźny, a nawet coraz łagodniejszym się staje, kiedy się daje słyszeć nielitościwy dzwonek; port, do którego ma wysiąść, przed niemi się rozwija; czołno przybywa, a rozmowa zajęcia pełna, uścisk ręki i uśmiech nadzieję wróżący, na zawsze może przerwanemi zostają! Myśl ta wierszem byłaby zapewne piękniéj oddana; niechaj ją tymczasem moja słaba proza poda; inna ją może szczytniéj rozwinąć potrafi; ja zaś wiodąc daléj te wspomnienia, uwagę moję na brzeg przeciwnoległy zwracam, i ciemne, północnym cieniem wiecznie okryte, Sabaudyi góry, z lewéj strony statku stojąc, uważam. Co za sprzeczność, okazałą wielkość temu obrazowi tak szczytnie nadająca! Tam cały blask południowych urodzajów, uprawy i woni; tu cała smętność i dzikość północnego przyrodzenia. Tu i ówdzie, białym żaglem oskrzydlone barki, przesuwają się zwolna, jak śnieżne łabędzie, wzdłuż ocienionego wybrzeża; urwiska skał, góry, na których gdzie niegdzie tylko, ubogiego Sabaudczyka wisi chatka; rzadkie i brudne miasteczka, żadnym sztuk pięknych płodem nieozdobione; takim nam się przedstawia brzeg jeziora Lemanu, do sąsiedniego państwa należący; ale cóżby był ten pyszny krajobraz, bez tych ogromnych cieniów, tak w przyrodzeniu, jak i w naśladującéj go sztuce, niezbędnie potrzebnych? Harmonia owych sprzeczności, wydawała mi się nie do opisania zajmującą, i długo się karmiłam podziwieniem, w które mnie wielkość tego obrazu wprawiła. Powoli więc, czyli raczéj bardzo szybko, bo dopiero trzy godziny na statku byliśmy, kiedy ostatni port Coppet, niegdyś pani de Stael dziedzictwo, nam się ukazał; dzwonek więc ten, raz jeszcze nowych na statek gości przywołał, Orzeł poleciał daléj, a zaokrąglające się lemańskie morze i coraz mocniéj odznaczający się od niego ciemny bieg Rodanu, końca żeglugi spodziewać się kazał; wysokie góry veaudeyskiego kantonu, niższym pagórkom, otaczającym Genewę, ustępować zaczęły, w miarę, jak się prawy brzeg zniżał, występowały dumne Alpy, na przeciwnéj stronie; biała jakaś massa, wznosiła się między niemi, wyżéj nad najwyższe swe towarzyszki, jak ów geniusz między nauką i rozumem, szczytniejsze miejsce zawsze zajmujący; był to Mont-Blanc, czyli Biała góra, odwiecznie śniegiem okryta i nad najogromniejszemi panująca. Jeszcze chwila, a już śliczna Genewa, kształtne swe mury oczom naszym ukaże; jéj most żelazny, kępa, którą piękny pomnik J. J. Rousseau zdobi, równie jak pyszny hôtel, des Bergues zwany, jeden z największych w Europie, kolejno się przed nami rozwijają, zbliżamy się do przystani, zachwyceni widokiem czarującym, miasta, wesołym blaskiem słońca jaśniejącego; szarozieloną barwą gór, które go okrążają; błękitnego nieporównanéj piękności pół-łęku, który jezioro w zakończeniu swojém tworzy; wielkością surowo wznoszących się nad tym czarującym krajobrazem pasma gór olbrzymich, czarnych, białych, śnieżnych, skalistych i dzikich, między które Rodan, wartki swój pęd z przykrością obracać się zdaie, w bezdenne ich przepaści ciemne swe nurty kryjąc.



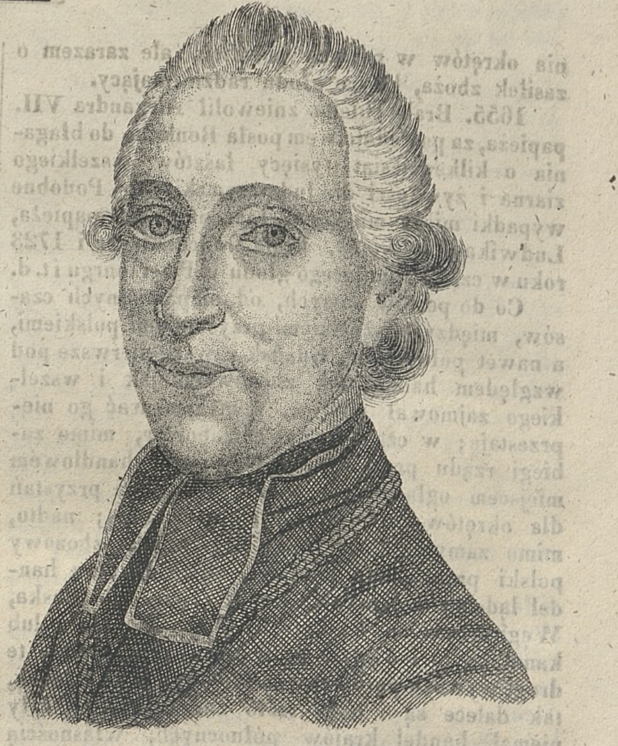
Widok miasta Genewy.

Opisanie szczegółowe parowego statku, jednego z owych licznych naszego wieku wynalazków, który się stał istotnie użytecznym, powinno także znaleść miejsce w moich wspomnieniach. Ja płynęłam tylko na dwóch najznaczniejszych jeziora lemańskiego statkach, ale ich jest cztery na jego wodach. Wilhelm Tell najważniejszy i tylko w pewnych okolicznościach używany, Leman i Winkilrid, które codziennie raz jeden, prawą stronę jeziora, od Ville-neuve do Genewy, w sześciu godzinach okrążają, i Orzeł nowo zbudowany, który do Ville-neuve leci i z tamtąd na szóstą w wieczór do Genewy powraca, ubiegając w 10. godzinach 24 mil naszych. Te statki są wszystkie jednym sposobem zbudowane i o morskich okrętach niejakie wyobrażenie dają; szybki lot Orła, przypisują atoli temu, że jest znacznie dłuższym, a cokolwiek wyższym nad inne; długość jego można porównać z długością domu Jasińskich w Warszawie; szerokość jednak, w miarę téj długości, bardzo jest mierną. Skoro się tylko z czołna na statek wstąpi, znajduje się na pokładzie, na dwie podzielonym części przez żelazny komin parowéj machiny, jak maszt okrętu wysokiéj; machina zaś, przy któréj znajduje się kuchnia, w głębi statku, na wzór młyna, głośno szumi i warczy. Około tego komina, na pokładzie, są nagromadzone paki, pudła, torby i kosze, należące do znajdujących się na statku podróżnych; oni zaś sami na dwie dzielą się części: tych, co płacą po pięć franków, czyli 8 złtp. od osoby, za przewiezienie z Vevay do Genewy, i tych, którzy za połowę téj kwoty na statku się mieszczą, miejsca te nie są niczém odznaczone; nikt jednak nie przechodzi właściwéj sobie granicy; i tak bogatsi, jak ubożsi, każdy w swoim zakresie, używają pięknego powietrza i zachwycającemi widokami się bawią, kiedy pogoda przebywać im z prawéj i lewéj strony pokładu dozwoli; wewnątrz statku jest salon ozdobny dla więcéj płacących; w nim wygodne ławki, miękko wybite; stoliki do śniadań, które nieustannie na nich zastawiane bywają, a nawet pełne książek półki, dla skrócenia jeszcze już tak krótko przemijającéj podróży; za tym salonem jest małe miejsce zamknięte, wyłącznie na spoczynek dam przeznaczone, gdzie mężczyznom wejść nie wolno; a lubo klucz do niego we drzwiach się znajduje, nikt jednak nie dozwoli sobie przestąpić tego zakazu. Płeć moja i tę skrytkę obejrzeć mi pozwoliła. O jakże tam wyłącznie kobietom podobać się chciano! Najdalej od machiny, najmniej się tam jéj hałas słyszeć daje; duża i mała gotowalnia, zwierciadła, gdzie je tylko umieścić można było, kilka szezlongów do spoczynku i pełno drobnych do uporządkowania ubioru sprzętów, na-

pełniają to szczupłe, ale arcy-wygodne miejsce, i każdéj tam wchodzącéj tę myśl nastręczają, że w towarzystwie przedsiębierczém tych statków, kobiety znajdować się muszą; gdyż one tylko tak dokładnie, w własnych potrzebach, siebie same odgadnąć zdołają; miejsce to staje się czasem bardzo potrzebne, bo wiele osób, a mianowicie kobiet, na statkach parowych morską słabość cierpią, a wtedy rozebrać się, i położyć koniecznie trzeba; nie doświadczyłam atoli tego, ani nikt z towarzyszów ówczesnéj mojéj podróży; przypisać to zapewne pięknéj pogodzie należy; jeszcze jedna z przyjemności owego salonu, są okna jego podługowate, z jednostajnéj szyby i z powierzchnią jeziora równoległe, które z obydwóch stron, jakby panorama, nieskończenie urozmaicone, co chwila inny krajobraz przedstawiają, a nawet przy dżdżystéj porze, o piękności kraju, który się okrąża, wyobrażenie robić sobie dozwalają.

Te cztery godziny, tak przyjemnie upłynione, mocne wrażenie w mojéj zostawiły pamięci; przepędziłam je na statku parowym, Orzeł zwanym, d. 31. Lipca 1837 roku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



X. Gawroński.

X. Gawroński.

Jak skromna cnota nieznana gaśnie, tak i zasługa głęboko uczonych mężów najczęściéj u późniejszych pokoleń idzie w niepamięć: odżywiać ją jest powinnością i miłem czułego serca zatrudnieniem. Odgłos powszechny nazwał Jana Śniadeckiego wskrzesicielem nauk matematycznych po Grzebskim i Broscyuszu; a jednak ten sławny matematyk i znakomity pisarz, musiał mieć poprzedników, którzy mu do sławy utorowali drogę, ale których zasługa mało komu znana. Takim poprzednikiem i istotnym wskrzesicielem nauk matematycznych w Polsce, był x. Gawroński, kanonik krak. Nie dla tego to piszemy, żebyśmy uwłaczali imieniu tak znakomitego pisarza, któremu tyle pod różnemi względami winna jest młodzież polska, który zagruntował naukę algebry, trygonometryi i analityki, łącząc rzadki dar jasności, myśli i wytworności wysłowienia; *) lecz, aby nie zaginęła pamięć Gawrońskiego, który właściwie utworzył język matematyczny.

Za rządów Stan. Augusta, od ustanowienia kommissyi edukacyjnéj, matematyka stała się jednym z głównych przedmiotów edukacyi publicznéj. Kommissya wezwała uczonych do napisania dzieł elementarnych: skutkiem tego wezwania napisał Lhulier, w Polsce bawiący Francuz, Genewczyk, dziełko elementarne matematyki dla szkół narodowych, które Gawroński na język polski przetłumaczył, a kommissya edukacyjna wszystkim szkołom do używania poleciła. To dzieło elementarne składało się z trzech części:

1. Geometrya we II. częściach, wydanych pierwszy raz r. 1780, drugi raz w Krak. 1785. Pierwszy tom zawiera geometryą płaską, drugi stereometryą.

2. Arytmetyka wiele razy przedrukowana.

3. Algebra w Warszawie 1782.

Wszystkie te dziełka zalecają się jasnym i popularnym wykładem: w czem większa jeszcze zasługa tłumacza, niżeli autora, który wszędzie francuzką książkę do Polski stósuje i uwagami objaśnia. Na początku każdego tomiku, kładzie Gawroński słowniczek matematycznych wyrazów obok z tłumaczeniem łacińskim, nie dosłownie z obcego języka na polski przekładanych, jak to zwykli czynić mierni tłumacze, ale z ducha języka naszego szczęśliwie utworzonych, co tylko wielkim pisarzom udawać się zwykło. Wszystkie te wyrazy z małemi bardzo wyjątkami zatrzymał naród, i uświęcił tyloletniém używaniem.

*) Zwracamy uwagę naszych czytelników na nową edycyą wszystkich pism Jana Śniadeckiego, staraniem Michała Balińskiego u Augusta Em. Glücksberga, księgarza warsz. Tomów 8. Tom I. jeszcze nie wyszedł: ma zawierać życie Śniad. z popiersiem. Cena 32 złtp.

Handel zbożowy, tak krajowy jak zagraniczny.

(Ciąg dalszy.)

1626. Hiszpania wyprawiała do Polski posłstwa nietylko z prośbami o wolność budowa-

nia okrętów w portach polskich, ale zarazem o zasiłek zboża, klęsce głodu radzić mający.

1655. Brak chleba zniewolił Alexandra VII. papieża, za pośrednictwem posła Ronkala, do błagania o kilkadziesiąt tysięcy łasztów wszelkiego ziarna i żywności dla ludu rzymskiego. Podobne wypadki miały miejsce za Inocentego XI. papieża, Ludwika Wielkiego, króla francuzkiego, i 1723 roku w czasie panującego głodu w Petersburgu i t. d.

Co do portów samych, od niepamiętnych czasów, między wszystkiemi przystaniami polskiemi, a nawet północnemi, Gdańsk zawsze pierwsze pod względem handlu tak zbożowego jak i wszelkiego zajmował miejsce, i utrzymywać go nieprzestaje; w czasach nawet zaborów, mimo zabiegi rządu pruskiego, Elbląg wolnohandlowém miejscem ogłaszające, mimo Piławę na przystań dla okrętów przybywających otworzoną; nadto, mimo zamysły Rossyi, do Rygi handel zbożowy polski przeciągnąć usiłujące, mimo znaczny handel lądowy z Krakowa ku Morawie, do Śląska, Węgier, już to na kołach, już nadto Odrą lub kanałami tu i ówdzie prowadzony; wszystkie te drogi wywozu porównywane z odbytem na Gdańsk, tak dalece są i były mało znacznemi, że cały niemal handel krajów północnych, własnością Gdańszczan być nigdy nie przestał. Ztąd to rzucając okiem na spisy miejskie, w wsypkach gdańskich w samym 1524 r. do 50,000 łasztów złożono zboża. W 1619. wyszło z przystani jego morzem do 103,811 łasztów, prócz półtrzecia tysiąca z okładem beczek sucharów; w 1681 samą Wisłą niemniejszą liczbę łasztów zboża odstawiono; liczba wszakże ta, w następujących latach urosła tak dalece, że w samym 1718 roku wyszło go na morze do 6,601,700 korcy, nie licząc w to ani owsa, grochu, ani nawet jęczmienia, kaszy i sucharów. W 1725 do saméj Dunkierki, 6000 łasztów wywieziono; ładowano zaś zwykle na każden okręt od 2. do 350 łasztów. Co do cen, te podobnież jak każden inny artykuł handlowy, różnym ulegał odmianom; i tak n. p. kiedy w 1619 nie płacono więcéj za łaszt żyta nad 40 złotych, to w 1683 dawano po 45 i 50. Pszenicę w 1698 i 9, i to czerwoną, płacono po 500, a białą po 550 aż do 700 złotych za łaszt. Zyto zaś 1709, tojest roku panującego moru, doszło do 300 złt.

Dziś Gdańsk, Petersburg poniekąd wyjąwszy, pierwsze między wszystkiemi miastami portowemi na północy zajmując miejsce, ma zatokę, przystań tamtejszą stanowiącą, strzeżoną piasków odsepiskiem i tamami kamiennemi; ma nadto, mimo powiewy wiatrów północnych, pożądane dno mórz do rzucania kotwic i tém samém ubezpieczone dla okrętów stanowisko. Głębia wód do kilkunastu stóp dochodzi; na zbiegu nawet Wisły z Motławą, 9 do 10 tychże wynosi. Znacznie równie jak wziętość handlu obszernego, Gdańsk najwięcéj Wiśle zawdzięcza; za jéj albowiem pośrednictwem i przez wpadające liczne i znaczne rzeki, a szczególniéj San, Bug, Narew i t. p., panuje w rzeczy handlowéj nietylko Polsce, Litwie, ale i Prusom, Szląsku, Węgrom i t. p., które to kraje nietylko zboże, ale i inne ziemiopłody surowe, na Gdańsk zbywać i wzajem przerobione i t. p. przyjmować zwykły. Pszenica jednak polska do najcelniejszych artykułów tamtejszych należy, bo też z obfitości i wyboru światu całemu znana. Biała, czerwona i mniej więcéj nakrapiana, pstrokatka, do odmian jéj liczy się; pierwsza atoli wszystkim przodkuje. Drobne nawet ziarno i niebardzo ciężkie, bynajmniej nie zmniejsza jéj szacunku, wzięcia; gdyż mając plewkę cieniuchną, będąc nadto obficie mąkodajną, czyli namielistą, wielce też poszukiwana jest. Zyto równie czystością i ciężkością odznaczające się, nie mało tam pokupne bywa. Zresztą i groch biały ma swoje znaczenie. Drzewo zaś wszelkiego gatunku i obciosu, do celniejszych po ziarnie artykułów handlu gdańskiego się liczy; po którém potaż, kości, cynk, wełna, pierze, skóry i t. p. następują. Odstawa zbóż pospolicie na galarach załatwia się; urodzaje wszakże i zbiór wód spławność zwykle tak Wisły, jak pobocznych jéj rzek stanowiące, o handlu tamtejszym wyrokować zwykły. Galary, jako statki płaskie, niekryte, lekkiéj i wątłéj budowy, prowadząc ziarno, na wszelkie zmiany powietrza wystawione, a do tego zwolna płynąc (z Krakowa do Gdańska od kilku do kilkunastu tygodni) odstawiają i nieraz pszenicę przemokłą, napęczniałą, porosłą; zkąd powstałe oskorupienie, obdach szczególny, jakkolwiek broni ziarno spodem będące od zniszczenia, niemały wszakże uszczerbek handlującemu sprawia; puklerz albowiem rzeczony, za przybyciem na miejsce, całkiem odrzucać się, reszta ziarna na ląd wynosić, zsypywać, rozpościerać, na słońcu suszyć i przerabiać aż do zupełnego z wszelkiej wilgoci wyparowania musi. Za każdą słotą, nocy niewyjmując, zgarnuje się znowu w kopce i płótnami okrywa; a tak niemało pracy, kosztu i czasu marni się, nim zboże na wsypki pójdzie. Téj to nieprzyzwoitości przemysł dzisiejszy zaskakując, zaprowadził na przystaniu pod Krakowem nowy gatunek statków krytych, żagłołodziami zwanych, których użytki i dobrodziejstwa nietylko na handel zbożowy krajowy, ale i dalszy zamorski, wpływ zbawienny wywierając, nie małe też rokuje korzyści.

(Koniec nastąpi.)

O starym wilku i o lisku filucie.

(Powieść gminna.)

Przed laty, było wszystko na świecie inaczéj jak dzisiaj! Spytać tylko starych ludzi, to oni nam dziwy powiedzą o owych dawnych czasach.

Nasłuchałem ja się nie raz takich powiastek od mego nieboszczyka dziada, który był wielkim myśliwym; więc też pewnego wieczora opowiadał następującą historyą o wilku i o lisie:

Była raz zima Mosanie co to ha! para na powietrzu marzła, a pod nogami śnieg skrzypiał, jak zardzewiałe zawiasy w piwnicy.

Takiéj tedy zimy chodziło sobie stare wilczysko po lesie i wołało auu! auu! Wtém spotyka go lisek hultaj i rzecze: „bracie wilku, dlaczego to tak smutno?“

„„Nie ma być smutno,““ odpowiada wilk z pokorą, „„kiedy w brzuchu pustki, a tu się téż i zębów przyjadło i pazury tępe!““

Ulitował się lis nad jego niedolą i zaprosił go z sobą na śniadanie do wsi, w któréj kmiotek Strogarz wyprawiał córce wesele.

„Oj będziemy mieli stypę,“ rzekł lis do wilka; „są tam połcie na poddaszu, trzeba nam ich skosztować.“

I wdrapali się pod zapolem na górę; ale miasto połci, znaleźli tylko placki pszenne, które wilkowi nie bardzo smakowały; więc z wielkiéj rozpaczy zawołał auu! auu!

Usłyszawszy to gospodyni Strogarka, dalej na górę, a za nią reszta gości z kijami i cepami.

Lisek zwąchnął co się święci, wyskoczył na dach i nakrył się ogonem, że go ani widnąć. Ale wilk niezgraba uwiązł w dziurze. Nuż tedy po nim łupu, cupu, łupu, cupu, aż w niebie było słychać.

O mało że nie zginął pod takiemi razami. Strach przypomniał mu jednak dawną odwagę i siłę; rzucił się więc na przebój, powalił kilku pijanych parobczaków o ziemię i prysnął.

Lisek tym czasem zlazł cichutko po drabi do sadu, ze sadu bruzdą za płot, a potém ku kniei, ku kniei, pod którą napotkał wilka, wylizującego sobie cięgi ze skóry, i zaczął go przepraszać i użalał się nad nim.

Cóż jednak po żalach, kiedy złe nie da się naprawić. Więc też wilk rozgniewany zawołał: „„com dostał, tom dostał; ale poczekaj jeno ty lisie! Jeżeli mi się nie wystarasz o śniadanie, to ja cię tu nauczę po kościele gwizdać.““ Oj źle, myśli sobie lis filut, łasi się wilkowi i mówi:

„Mięsa ci dać nie mogę braciszku, ale też dzisiaj post na mięso; pójdźmy lepiéj na ryby; są tu w jeziorze karpie jak woły.“

Udobruchawszy tym sposobem wilka, prowadzi go z sobą na jezioro, w którém przed chwilą wyrąbano przerębel, i rzecze: „A wiesz ty jak ja ryby łowię?... Oto wpuszczę mój ogon we wodę, to mi się u niego ryb nauwiesza, jak mrówek. Zarazbymci to pokazał, ale szelmy rybki tak już mój ogon poznały, że zdaleka od niego uciekają. Twój ogon tęższy braciszku, tyś też silniejszy odemnie, to więcéj poradzisz wyciągnąć. A więc daléj, wpuść ogon w przerębel; ja ci zaś powiem, rychło będzie czas wydobyć.“

Poczciwe wilczysko uwierzyło; siada sobie na lodzie, i wpuszcza ogon we wodę.

A był wtedy mróz trzaskający, gwiazdy się na niebie jaskrawo iskrzyły, jezioro hukało straszliwie. Nie dziw, że wilka coś w ogon ziąba; więc ledwie usiadł, pyta się: „„a co, są tam już?““

„Jeszcze nie,“ odpowiada lisek, „ale będą zaraz.“ Wilk siedzi, siedzi, i coraz mu zimniéj, więc znowu się pyta: „„a co, są tam już?““

„Oj są braciszku, ale się nie rusz, bo umkną.“ Jeszcze chwilę wilk siedzi spokojnie; lecz już też dłużéj wytrzymać nie może; jak się więc odsadzi, jak szarpnie, aż mu w krzyżach trzasło, a ogona nie wyciągnął. Drugi raz tedy poszarpnął, aż mu oczy na wierzch wylazły; nie wyciągnął przecież ogona, który porządnie przymarzł do lodu; wilk zaś myślał, że to taka siła ryb u niego wisi, i woła lisa na pomoc. Lis tym czasem heł, heł, ku kniei, jak oparzony umykał. Dopiero wilczysko poznaje, że go oszukano i wyje z rozpaczy straszliwie. Tém wyciem obudzeni wieśniacy, wypadli z widłami i zakłuli go na jeziorze.

Taki był koniec starego wilka. Teraz wam powiem, co się póżniej z lisem stało.

Lis, jak wiecie, jest drapieżny; orzeł jest także drapieżny; obaj polują na słabsze zwierzęta i żywią się niemi; swój swego zwąchnie od razu. Więc też orzeł poznał się z lisem i zaprosił go na chrzciny swego syna. Było na tych chrzcinach wielu innych gości; był tam wilczek młody, był kot szary, był i pies.

Wszyscy się wybornie bawili; a podchmieliwszy sobie trochę, opowiadali, jak który poluje.

Orzeł tedy swoje polowanie najbardziéj przechwalał, mówiąc do lisa: „Co mi tam wy kumotrze, chodzicie jak żółw po ziemi; ze mnie to mi to myśliwy; kiedy sobie podlecę ku chmurom, widzę całą ziemię naraz, każdego ptaszka w gniazdku, każdego zajączka w kotlinie zobaczę i wybiorę co najtłuściejsze.“

Spodobało się to lisowi; rzekł tedy: „„prawda kumotrze, jabym też tak chciał polować, ale nie każdy umie latać.““

„Czemu nie każdy,“ zawołał orzeł zdziwiony, „a cóż w świecie łatwiejszego, jak latać. Ja was zaraz kumotrze nauczę.“

Ręczę, żeby lis tego po trzeźwemu nie był uwierzył, ale się upił porządnie na chrzcinach i po pijanemu przystał na wezwanie orła, który go bierze w swe szpony, a podleciawszy wysoko, puszcza i mówi: „no teraz sami lećcie, ale na ukos, kumotrze, na ukos, bobyście kark skręcili.“

Lis pewno tego nie rozumiał, bo leciał na dół jak kula, a spadł jak kamień na ziemię; raz tylko drgnął, przewrócił się brzuchem do góry i wyszczérzył zęby.

Widząc to orzeł tam z góry, zapytał się: „cóż wam to tak śmieszno kumotrze?“

Kto chce wiedzieć, co na to lisek odpowiedział, niech czeka do jutra rana.

Odpis na wezwanie do pisania epopej, trajedyj, od, satyr i t. d.

Niechcesz bym pełzał po ziemi,
Każesz w wyższe sfery wzlatać
I tak zuchwale się bratać
Z Sofoklami, Horacemi.
Wszystkie razem wieńce chwały
Odwadze mojéj przyrzekasz,
I gdzie bujał Pindar śmiały,
Tam gdzieś pod słońcém mię czekasz.
Chceszże w tylu razem płodach,
We wszystkich wieszcza zawodach,
Upadku mego być świadkiem?
A gdybym ja też przypadkiem,
Lecąc przez powietrzne szlaki,
Natrafił na piorun jaki;
Coby mię zgromił haniebnie;
Lub gdybym w ślepym zapale,
W samo słońce wpadł zuchwale
I tam zgorzał niepotrzebnie?
Na takąż mię to zagładę
Nieba czność twoja wystawia?
Takąż przyjaźń daje radę?
Także to serce przemawia?

Ale zkądże moję lutnię
Płocha wesołość porywa;
Zkądże, zkądże tak okrutnie
Dawnym się wdziękiem odzywa?
Czyż niepomna mego losu
I ona go nie osłodzi;
Czyż i ona swego głosu
Już z mojém sercem nie zgodzi?
Ach! gdyby nawet na chwilę
Mogła w dawnéj zabrzmieć sile;
Gdybym nawet wiersz odlewał,
Jakim Szekspir, Bayron śpiewał;
Gdybym w sławnéj krwi ubroczył
Melpomeny sztylet srogi,
Gdybym ojczyste półbogi
Hołdem stu wieków otoczył;
Cóżbym otrzymał w korzyści?
Listek lauru, liczne smutki,
Prace, szyderstwa, zawiści,
Wsławionego życia skutki.
Sława ponętną ma postać,
Lecz jéj zawód jest zdradliwym;
Trudno nieśmiertelnym zostać
Trudniéj jeszcze być szczęśliwym.
Znałem ja niegdyś swobodę,
W któréj płyną lata młode,
Żadne pióro nie okryśli
Lat wiosennych omamienia;
Błąkały się młode myśli
Po wielkiém państwie marzenia.
Inne mi słońce swieciło,
Nie kryła go żadna chmura,
Wszystko powabniejszém było,
Sława, ludzie i natura.
W wszystkiem się życia kolejc
Z młodzieńczą rzucał swobodą,
Radość, chwałę i nadzieję
Wszystko duszą piłem młodą.
Jakby w miłości krainie
Życiem tylko serca żyłem,
I przez łzy szczęścia jedynie
Na świat ten — świat mój patrzyłem.

Czarowne kraje uroku!
Jakżem was spiesznie przepłynął....
W jakże to ciemnym pomroku
Świat mych omamień zaginął!....
Zgasła radość, młodość zbiegła,
Boleść w krwawéj wrzała ranie,
Jakaż okropność zaległa
Bezdenne myśli otchłanie.
Snuły się czarne widziadła
Po zwiędłéj życia kolei,
W jednéj się chwili rozpadła
Budowa tylu nadziei!
Próżno, próżno oczy moje
Na lube zwracam pamiątki,
Zbieram szczęścia mego szczątki,
Już ja z nich szczęścia nie spoję....
Już i lutnia oniemiała
Potarganych strón nie zgodzi,
Dusza boleścią zwiędniała,
Silnych uniesień nie zrodzi,
Nie, nie zwrócę wód potoku,
Dawnych marzeń nie odwołam;
Nie rozjaśnię duszy mroku,
Przed sobą uciec nie zdołam.
Bo od czego człowiek stroni,
To wryte wewnątrz człowieka;
A to za czem wiecznie goni,
Wiecznie od niego ucieka.
Niech cię nie zwodzi chęć sławy,
Co czasem we mnie powstanie;
Lub to w pośród świata wrzawy
Płoche rozrywek szukanie;
Nie wierz tym marnym pociechom,
Z których mię żadna nie wzruszy,
Ni tym zmuszonym uśmiechom,
Co kłamią pokój méj duszy.
Są to owe kwiaty płonne,
Co już w późną jesień wzrosną,
Wątłe, blade i bezwonne
I udaną zwodzą wiosną.
Przyjdzie może chwila zmiany,
Gdzie od losu litośniejszy
Czas, co wszystkie goi rany
I moję boleść umniejszy.
Lecz ileż mię oczekiwa,
Ileż jeszcze lat cierpienia....
Nim się ta przyszłość leniwa
Doczołga z chwilą ulżenia?

M.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. *Ciechański.*)